NUMER 49. DNIA 4. GRUDNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

BOHATEROWI DWU ŚWIATÓW.

Na wolnej ziemi amerykańskiej stanie z wiosną znowu jeden, a wspaniały pomnik Tadeusza Kościuszki, dzięki niezwykłej ofiarności kolonji polskiej w Milwaukee. Wielkie to i dobre dzieło jest już dokonane, pomnik, którego wyobrażenie podajemy naszym czytelnikom, już stoi w Milwaukee na granitowej podstawie, a w żaglowe płótno spowity czeka wiosny i odsłonięcia, na pożytek, podniesienie ducha i wieczną pamiątkę tułaczów naszych w Ameryce.

Pomnik wykonany został we Florencji, przez artystę rzeźbiarza p. Kajetana Trentennove, odlew zaś spiżowy, wagi 14.000 funtów wyszedł z zakładów firmy Galli również we Florencji, a dokonany został według najnowszego systemu Bonawentury Collini t. z. *„a cera perduta"*.



POMNIK TADEUSZA KOŚCIUSZKI W MILWAUKEE.

Posąg Kościuszki ulany jest z dwóch tylko kawałków bronzu. Postać bohatera jest podwójnej wielkości. Na rumaku, znakomicie modelowanym siedzi Kościuszko; ręką prawą wznosi do góry szablę, lewą wstrzymuje konia. Rysy naczelnika odtworzone wiernie, cała postać pełna rycerskiego animuszu, a zarazem pogody i właściwej Kościuszce słodyczy. Posąg umieszczony jest na czworobocznym granitowym piedestale, którego wysokość wynosi 15 stóp. Na frontowej stronie piedestału znajduje się wyryty napis: „Tadeusz Kościuszko — * 1746 — † 1817; na wschodniej: A. D. 1904; na południowej: *„To the hero of both hemispheres — By the Poles of Milwaukee"*; a na północnej: „Bohaterowi dwu światów — Polacy w Milwaukee".

Artysta Trentennove, pracował nad modelowaniem posągu od lipca 1903 do września b. r. w swojej pracowni we Florencji, gdzie też ostatecznie posąg został oddany dnia 10. września. Cała prasa florencka, a zwłaszcza dziennik „*La Nazione*“ wyrażała się z wielkiem uznaniem o dziele p. Trentennove, uważając je za jedno z najlepszych dzieł tego artysty. Dodać przytem należy, że p. Trentennove liczy lat 50, a rzeźba jego „Wiktor Hugo“ zwróciła na wystawie paryskiej powszechną uwagę.

Pierwotnie artysta zamierzał wysłać posąg Kościuszki koleją do Genui, skąd miano go zabrać okrętem do New Jorku. Okazało się jednakże, że skrzynie z pomnikiem były tak wysokie, iż nie możnaby ich było przewieźć koleją, przez małe włoskie tunele, których między Florencją a Genuą jest ośmnaście. Dlatego kolej odmówiła przewiezienia pomnika i artysta Trentennove zmuszony był wysłać go wozem z Florencji do Leghorn. Po drodze wypadło przejeżdżać przez kilka małych miasteczek włoskich o wąskich ulicach. Wielkie skrzynie z posągiem uszkodziły w nich latarnie uliczne, a artysta musiał pokryć szkody. Pomnik wyładowano w Leghorn 13. września na okręt „Italja“, który przywiózł go do Nowego Jorku 10. października, skąd koleją dojechał na miejsce przeznaczenia 25 października.

W Milwaukee posąg podobał się ogólnie, wywołując jak najbardziej entuzjastyczne sądy, a ustawieniu jego przypatrywały się tłumy publiczności.

PIOTR CHMIELOWSKI

a katedra literatury polskiej na uniwersytecie warszawskim.

(KILKA DOKUMENTÓW.)

(Dokończenie.)

Położenie Chmielowskiego było wobec tej niespodziewanej zmiany warunków bardzo przykre i trudne. Jak postąpić? Czy posadę wobec tych zasadniczych ograniczeń przyjąć, czy nie przyjąć? Można było zapatrywać się na to z dwojakiego punktu widzenia: osobistego i narodowego, zawsze jednak zjawiały się liczne argumenty zarówno *pro*, jak i *contra*.

Osobiście wyszedłby niewątpliwie o wiele lepiej na przyjęciu posady; zabezpieczyłby sobie byt, uwolniłby się od nużących lekcji prywatnych i z całą swobodą i całą duszą mógłby się oddać pracy naukowej, a przytem nie zadarłby z potężnym rządem, z którym musiał się liczyć choćby tylko dlatego, że za urządzanie tajnych odczytów patrjotycznych wisiała nad nim ustawicznie groźba cytadeli lub Sybiru. Względy narodowe można było łatwo przedstawić tak, że przemawiałyby również na jego korzyść, za przyjęciem posady. Bo czyż nie lepiej, żeby on przyjął ją, niż gdyby ją miał otrzymać Moskal? Czyż nie lepiej, że młodzież będzie słuchała jego rozumnych, gorących, szczerym patrjotyzmem tchnących słów, niż gdyby miała pozostawać pod wpływem jakiegoś czynownika, któryby w jej umysłach zaszczepiał lekceważenie i pogardę dla wszystkiego, co polskie? Wszakże to argument, na podstawie którego jeszcze wiele lat potem starano się motywować, że Chmielowski powinien był bez względu na warunki katedrę przyjąć! Ale Chmielowski poza praktycznem znaczeniem sprawy uznawał jej znaczenie ideowe, odczuwał potrzebę protestu przeciw podobnemu postępowaniu rządu rosyjskiego i wiedział, że społeczeństwo będzie się od niego tego protestu domagało. Wahał się więc i czekał.

Upłynęły trzy miesiące od chwili otrzymania nominacji, a Chmielowski nie dawał władzom znaku życia. Wreszcie dnia 22. czerwca otrzymuje urzędowe wezwanie, aby przybył na uniwersytet „celem złożenia przysięgi na wierną służbę“; — wówczas odpowiada (dn. 24 czerwca), że zachorował nagle i przybyć nie może, równocześnie zaś „prosi o odłożenie przysięgi na czas powakacyjny“. Czy spodziewał się, że sprawa zejdzie jeszcze na pomyśl-

niejsze tory, czy chciał tylko odwlec ostateczną decyzję — trudno osądzić. Ale sferom rządowym to odwlekanie sprawy było widocznie nie na rękę, więc starano się zwabić Chmielowskiego nadzieją... otrzymania pieniędzy. W piśmie z dn. 1. lipca rektor uniwersytetu wzywa go ponownie do siebie, zamiast o „przysiędze na wierną służbę“ wspomina tylko delikatnie o „podpisaniu protokołu“, a to w tym celu, „aby bez przeszkód módz zacząć wypłacać Wielmożnemu Panu należne mu wynagrodzenie, stosownie do zajmowanej posady“ — a równocześnie, bo także 1. lipca, wzywa go do siebie Kurator okręgu naukowego.

Pomimo tego naglenia Chmielowski udaje się do Kuratora dopiero w trzy tygodnie później, a przekonawszy się, że ani kwestji języka wykładowego, ani ograniczenia przedmiotu wykładów nie będzie mógł sprowadzić na inne tory, wnosi swą rezygnację. Oto dosłowne jej brzmienie w przekładzie polskim:

Do Rady
Cesarskiego Uniwersytetu w Warszawie.

Ja, podpisany Rzeczywisty Student cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu w Warszawie, mam zaszczyt zaznaczyć, że w miesiącu lutym zeszłego roku zostałem zaproszony przez pp. Dziekanów wydziałów: filozoficznego i prawniczego cesarskiego warszawskiego Uniwersytetu do objęcia w tymże Uniwersytecie wykł 'ów literatury polskiej w języku polskim.

Dnia 22. lipca b. r. dowiedziałem się oficjalnie od Jego Ekscelencji p. Kuratora warszawskiego Okręgu naukowego, że literatura polska ma być wykładaną w języku rosyjskim.

Byłem zaproszony do wykładania historji literatury polskiej wogóle — według postanowienia jednak wydziału historyczno-filologicznego wykreślono z mego kursu najważniejsze, najistotniejsze okresy literatury polskiej, mianowicie: Wiek Złoty, Odrodzenie z czasów Stanisława Augusta oraz okres Mickiewiczowski, które to czasy mają być przedmiotem wykładów profesora literatur słowiańskich.

Wymienione tu okoliczności zmuszają mnie do wniesienia za pośrednictwem Wysokiej Rady cesarskiego warszawskiego Uniwersytetu prośby do Jego Ekscelencji p. Kuratora warszawskiego Okręgu naukowego o uwolnienie mnie od obowiązków docenta literatury polskiej w cesarskim warszawskim Uniwersytecie. Pozostaję z wysokiem poważaniem

Piotr Chmielowski.

Warszawa, dnia 31. lipca 1882,
ul. Złota, l. 22.

Pomimo bardzo grzecznego tonu, pismo to nie podobało się władzom rosyjskim: zbyt jasno i dosadnie wykazywało ich przewrotne postępowanie. Nie chciano go przyjąć w tej formie, że zaś do oficjalnego protestu nie było powodu, więc użyto za pośrednika prof. Kasznicę, Polaka i osobistego znajomego Chmielowskiego. Ten na polecenie kuratora donosi mu, że „podanie o uwolnienie w tej formie, w jakiej zredagowanem zostało, przyjętem być nie może“. Jako powód podaje fakt, że „pismo wystosowane jest do Rady uniwersytetu, a nie do Rektora, lub wprost do Kuratora“ — ale w końcu odsłania prawdziwą przyczynę, pisząc: „I o powodach możnaby według jego (Kuratora) zdania inaczej wspomnieć. Wskutek tego zażądał odemnie, aby Pana prosić o zmianę redakcji podania, dodając, że w razie bezpośredniego adresowania do niego — nie potrzebowałby Pan bynajmniej widzieć się z nim. Co do powodów, to możnaby ogólnie wspomnieć, n. p. tak: „Otrzymawszy bliższe wiadomości o warunkach i zakresie wykładu hist. literat. polskiej, nie mogę się podjąć tego wykładu i dlatego mam zaszczyt“ i t. d. Zresztą Kurator nadmienił, że poprzednie podanie zostanie i tak w aktach.

Chmielowski odpowiedział jednak na ten list odmownie. Wówczas, na powtórne żądanie Kuratora Kasznica udaje się do niego osobiście i raz jeszcze sprawę przedkłada, ale otrzymuje odpowiedź, że tytuł podania może uledz zmianie i być zwrócony, zamiast do Rady uniwersytetu, wprost do Kuratora, lecz w treści, w podaniu powodów, zmiany są niemożliwe. Ponieważ zaś Kuratorowi chodziło tylko o zmiany w określeniu powodów, więc wobec stanowczej odmowy Chmielowskiego „zgodził się ostatecznie — jak pisze Kasznica 16. sierpnia — na to, aby na podstawie owego, do Rady wniesionego podania, przedstawić Chmielowskiego do uwolnienia“.

Jakoż rzeczywiście dnia 9. września 1882 roku otrzymał Chmielowski pismo następujące:

„Pan Kurator warszawskiego Okręgu naukowego z dnia 28. sierpnia L. 9942 raczył, stosując się do prośby Pańskiej, uwolnić Wielmożnego Pana od obowiązków przy Uniwersytecie, o czem mam zaszczyt zawiadomić Wielmożnego Pana“.

Rektor Uniwersytetu, Radca tajny
(podpis nieczytelny).

Sprawa była ostatecznie załatwiona. Chmielowski utracił podstawę materjalnego bytu, naraził się na prześladowania policji rosyjskiej, które go później miały dwukrotnie zawieść do cytadeli, zyskał jednak w zamian cześć i miłość u całego społeczeństwa.

Tadeusz Pini.

Wieczór w kopalni na Sybirze.

(Z pamiętnika powstańca r. 1831
podał K. NOTZ.)

„Siedzieliśmy tedy przy Chodykiewiczu. Na kominie skąpo tlały trzy czy cztery głownie, po kątach izby leżały głębokie cienie, poruszające się zwolna i dziwacznie pod błyskami małej wiszącej u pułapu lampki.

Niedziela była, schyłek dnia i schyłek jesieni.

Za ścianą hulał wicher w szerokiej pustce, a gdy przycichał na chwilę, słychać było miarowe kroki i obwoływanie się warty.

Przy drzwiach w izbie stał żołnierz z nasadzonym na karabin bagnetem. Był to tatar Dadon, który u nas co miesiąc grosz pewny „na trubkę“ miał, a za to w izbie głuchy był i ślepy, a po za izbą milczał tak, jak tylko tatar kupiony milczeć może. Teraz kołnierz do góry postawił, broń kolanami ścisnął, a objąwszy ją w ramiona, ręce w rękawy zasunął, skulił się i drzemał.

Chodykiewicz leżał na wznak, z szeroko otwartemi oczyma.

Trzy noce nie spał, gorączka buchała od niego, z mgieł melancholji coraz bardziej występowało ohydne widmo warjacji....

Siedząc tak na ziemi, na pryczach, usiłowaliśmy rozmawiać swobodniej a nawet wesoło.

Umówionem było między nami, aby na to nieszczęście nasze oddziaływać widokiem spokoju, swobody. Sięgaliśmy zazwyczaj po wspomnienia młodości, po obrazy lat szkolnych, młodzieńczych, po pamiątki, po nadzieje, po marzenia wiosny.

Gospodarka Afanasiewa, jego chciwość, jego przekupstwo, jego nadużycia, dostarczały nam także obfitego wątku do gawędy.

Czasem opowiadał nam coś z dalekiego świata Dorociński, który w sam wieczór 29. na ulicy oficera zabił i z armji rosyjskiej do powstania listopadowego dezerterował.

Krew południowa w żyłach jego grała, nadając opowieściom jego niezwykłą żywość i barwę.

Cięty w języku, retor wielki, z Mochnackim znajomy blisko, gadać lubił i gadać umiał, widział świata kawał, znał ludzi, dowcip miał bystry, uważaliśmy go tedy w naszej biedzie jako skarb prawdziwy.

Mieliśmy też między sobą Wysockiego imiennika Piotra, który później w poblizkiej twierdzy „Akatuj“ siedział.

Szlachcic był ciemny, jak tabaka w rogu, ale jowialność miał w sobie i dobroduszność wielką.

Zapijał się nieco, a że był porywczy, bano się go tutaj jak ognia.

Pamiętam, jak na etapie dwóch sołdatów, którzy mu wódkę kradli, za karki chwyciwszy, w górę uniósł i łeb o łeb tłukąc, jak kraszanki, pobił, bo prawdziwie niedźwiedziej był siły.

Szczególną miał historję ten Wysocki. Jako partyzant rosyjską pocztę sam rozbił, jamszczyka i trzech dońców zakłuwszy, a zabrane papiery natychmiast spalił.

Usługa ta nie wydała się rządowi narodowemu zupełnie pożądaną, szlachcica uwięziono.

Poszedł do kozy, ale choć głowę miał nad podziw wielką, nie mógł zrozumieć, dlaczego za czyn pokutować musiał.

Wtem wzięto Warszawę.

Wysocki, jako prześladowana ofiara, przez ks. Paszkiewicza uwolnionym został.

Zadziwiło go to jeszcze więcej. Jeszcze się był w zadziwieniu nie opamiętał, aliści książę, który go do osoby swojej przypuścił i od niego samego wiadomość o pierwszej przyczynie owej niełaski rządu narodowego powziął, bezpośrednio z pokojów swoich do turmy wrzucić rozkazał.

Teraz już szlachcic całkiem głowę stracił.

A miał czas do namysłu dość długi, gdyż w turmie przesiedział pół roku, poczem mu 500 pałek wsypano i tu do taczek zesłano. Wysocki strasznie tem był tknięty, a nie chodziło mu, o katorgę, ale o to, że go Paszkiewicz zdradził.

I znowu swoje zdarzenie dziś przed nami opowiadał, spluwał i wpadał w zadumę.

Śmieli się koledzy a wmawiając w szlachcica, że go cesarz namiestnikiem w Królestwie zrobić chciał i że go Paszkiewicz przez zazdrość więził i gnębił, kazali po raz setny opowiadać ową odysseję.

Ale dziś ani jemu nie szło, ani my nie mieli humoru.

Rozmowa się urywała, milkła, słowa na ustach więdły, oczy gasły, czoła się marszczyły.

Jakiś beznadziejny smutek obejmował nas coraz grubszym zmierzchem.

Myśmy boleli.

Trapiła nas ciężka choroba.

Bywało, pracujemy milcząc, żeśmy to już od pieśni i od opowieści i od wspomnienia głośnego odwykli, dozorca nawet zdrzemnie się i fajkę z zębów puści, taczka tylko zadudni, kilof szczęknie, łańcuch zgrzytnie i cisza.

I znów jęk szeroki, z wielu piersi dobyty — i cisza.

I znów taczka dudni, kilof szczęka i łańcuchy zgrzytają.

A była to litanja straszliwa, jakiej i potępieńcy nie odmawiają w piekle. Bo gdyby odmawiali, sprawiedliwość Boża ogniaby im piekielnego ujęła i piekła nie czyniła wiecznem.

Od głosek tej litanji jedni wybuchali szatańskim śmiechem i bluźnierstwem, drudzy padali jak kłody.

A po sercach ludzkich szły jak trąd słowa i jak trąd je żarły.

I dziś brzmiały one między nami, brzmiały jak hasło rozpaczy.

I siedzieliśmy milcząc, głazem, bo szedł szept po szepcie, od serca do serca: „Ojczyzna w niewoli"...

Nerwowość u dzieci.

(Dzieło Prof. Dra A. Combe'go w tłumaczeniu polskiem przez Dra H. Nusbauma.)

(Ciąg dalszy.)

Symptomata wywołane alkoholizmem u dzieci, będących u piersi, objawiają się zwykle napadami drgawek, że te symptomy są częste u dzieci, świadczy sama nazwa ich ludowa, lud mieni bowiem tę chorobę „Rodzimcem", bo ona ma być właściwością wszystkich niemowląt, jest chorobą, według zdania pospólstwa najnaturalniejszą w świecie. Przeglądając księgi metryczne na Kamczatce i we wschodniej Syberji, napotykałem ciągle wyrażenia takie „śmierć od Rodzimca", zapytywani rodzice oświadczali, że wszystkie ich dzieci, prawie bez wyjątku chorowały na „Radimca".

Nawet matki, należące do kategorji pijących umiarkowanie, mogą być powodem drgawek u niemowląt. Na dowód nie zawadzi przytoczyć opowieść jednej z powag naukowych, lekarza i prof. chorób dziecięcych. I tak opowiada on, że przyniesiono do jego kliniki dziecię półtrzeciaroczne, karmione wyłącznie piersią. Matka skarżyła się, że jej dziecko jest nerwowe, wciąż niespokojne, że mało i źle sypia, oraz podlega napadom drgawek. Wypytując matkę, dowiedział się lekarz, że ona pije rano kieliszek wódki, dla łatwiejszego kaszlu; w południe kieliszek wódki, dla dodania sobie apetytu; wieczorem znowu kieliszek wódki, dla zapewnienia sobie dobrze zasłużonego wypoczynku.

Lekarz polecił matce umiarkowanej, nie dawać dziecku przez kilka dni piersi, lecz karmić je mlekiem krowiem — napady drgawek ustały. Po kilku dniach pozwolił karmić dziecko na nowo piersią — drgawki się powtórzyły, wtedy polecił odstawić dziecko od piersi i drgawki nie wróciły wcale.

Takie same wypadki opisują inni lekarze chorób dziecięcych, mamy tedy cały szereg faktów, świadczących, że alkoholizacja dzieci odbywa się wprost przez mleko matek, albo mamek.

Cały kompleks symptomów dzieci alkoholizowanych, będących u piersi, daje się ująć w następujący sposób. Dzieci są niespokojne, nie sypiają, mają złe wypróżnianie, przybierają słabo na ciele, miewają drgawki, i czuć wyraźny niekiedy zapach alkoholu w pocie i przy oddychaniu.

Dalszy alkoholizm u dzieci, odłączonych od piersi, wytwarza się z powodu przekonania najfatalniejszego, ale pomimo to niezmiernie głęboko zakorzenionego w umysłach niemal wszystkich ludzi, mianowicie, że napoje wyskokowe wzmacniają, a więc zaleca się dzieciom wątłym wino, piwo, porter, koniak, starkę, albo tylko „Bałabanówkę". Dzieciom słabowitym, następnie każe się pić Malagę, Maderę, Marsalę. Dzieciom małokrwistym przepisuje się koniak z mlekiem, wiśniak, wódki mocne, albo stary miód sycony. Inni znowu alkoholizują dzieci swoje przetworami farmaceutycznymi, jak wino chinowe, wino kola, wino kobu, wina rebarbarowe, koniak żelazisty, absynt z pędami sosnowymi etc., etc. Lekarze szczególniej mają tu dużo na sumieniu, zalecając produkty alkoholowe, jako środki skuteczne i twierdząc, że alkohol w rękach lekarzy jest potężnym środkiem leczniczym. Ale alkohol nie jest wcale podnietą, nie jest środkiem pokrzepiającym, jest to narkotyk wielce szkodliwy, jest straszną trucizną. Dziecko nie powinno nigdy, pod żadnym warunkiem, pod żadnym pretekstem zażywać, ani napojów wyskokowych, ani lekarstw alkoholem zaprawnych.

Żaden autorytet lekarzy praktykujących nie powinien zniewolić rodziców do jakichkolwiek bądź ustępstw na tem polu hygjeny. Przy dzisiejszym stanie wiedzy, tylko lekarz, nie mający żadnego pojęcia o działalności alkoholu, albo lekarz sam alkoholik, mogą jeszcze zalecać napoje wyskokowe, albo przepisywać dzieciom przetwory farmaceutyczne alkoholowe.

Dziecko już dobrze w domu rodzicielskim zalkoholizowane, wkracza w okres szkolny, na niego działa nowe otoczenie, nie w sposób hamujący jego dotychczasowe przyzwyczajenie, lecz przeciwnie, w kierunku jeszcze bardziej potęgującym nałogi nabyte. Tak n. p. z sali konferencyjnej, gdy drzwi się otworzą na korytarze, bucha dym tytuniowy jak z wędlarni jakiej, każdy nauczyciel z papierosem w ustach, pan dyrektor z cygarem w ręku, stają przed uczniami w całej nagości swoich nałogów. Z ust nauczycieli, inspektorów, dyrektorów, woźnych i kolegów czuć aromatem alkoholowym. W takiej atmosferze rośnie i wychowuje się młodzież, — koledzy, synowie szynkarzy, winiarzy, restauratorów etc., ułatwiają malcom zebrania i pijatyki po zakładach, bachusowi poświęconych, to też już w czasie nauk szkolnych młodzież cała jest kompletnie zalkoholizowana, a że stan taki wywołuje bardzo wczesne rozbudzenie popędów płciowych, więc też nie dziw, iż większa część młodzieży zostaje zarażoną chorobami, które następnie niszczą organizm, pozostawiając w nim ślady, nie dające się zgładzić żadnymi środkami leczniczymi, (*D.* n.)

Dr. B. Dybowski.

KNUT HAMSUN.

Odczyt na prowincji.

Postanowiłem urządzić w Drammen odczyt o nowoczesnej literaturze. Zamierzałem w ten sposób przyjść do pożądanych dochodów, bez wielkiego z mojej strony wysiłku. Pewnego pięknego ranka letniego siadam tedy do wagonu i ruszam ku owej poczciwej mieścinie. Było to w r. 1886.

Nie znałem żywej duszy w tem mieście i mnie nikt nie znał.

W dziennikach nie ogłosiłem również mojego odczytu, ale dawniej, w pełni lata, w chwili, gdy byłem przy pieniądzach, kazałem wydrukować pięćset biletów wizytowych, które obecnie postanowiłem rozdać po hotelach, gospodach i większych magazynach, aby zwrócić uwagę mieszkańców na sam fakt. Bilety nie były zgoła wykonane według mojego gustu, nazwisko było wydrukowane błędnie ale przy odrobinie dobrej woli, można było dojść, że to miałem być ja. Przytem nazwisko moje było tak absolutnie tu obce, że błąd drukarski w niem nie mógł mi nic ująć, ani dodać.

Siedząc w wagonie obliczałem swój majątek. Ale nie straciłem odwagi bynajmniej! Alboż mi to pierwszyzna wydobyć się z przykrej sytuacji przy małej sumce, a nawet zgoła żadnej? Nie ulegało wątpliwości, że nie miałem teraz tyle gotówki, aby żyć odpowiednio do wyższego estetycznego zajęcia, jakie zapowiedziałem w tem obcem mieście, ale przy stosowaniu oszczędności — jakoś to będzie. Tylko żadnych nadzwyczajnych wydatków! co do jedzenia, to mógłbym się cichaczem przemknąć wieczorami do szynku i zjeść co, a zamiast hotelu wyszukam sobie jakieś „mieszkanie dla podróżnych“. A jakież inne wydatki mógłbym mieć?

Jechałem tedy i obmyślałem odczyt. Chciałem mówić o Aleksandrze Kiellandzie. Moi towarzysze podróży, weseli chłopi, wracający z Chrystjanji puścili w kółko flaszkę; częstowali i mnie — lecz podziękowałem. Byli i później dość natrętni, jako ludzie pijani, a dobroduszni, ale nie miałem ochoty poufalić się z nimi. Nakoniec, z całego mojego zachowania się i licznych notat, które robiłem, poznali, że mają do czynienia z uczonym, mającym pełną głowę mądrości i zostawili mnie w spokoju.

Przybywszy do Drammen, wysiadłem i położyłem walizkę na jakiejś ławce. Chciałem się najprzód zastanowić, zanim ruszę na miasto. Walizka ta wcale nie była mi potrzebną, wziąłem ją z sobą jedynie dlatego, że, o ile słyszałem, łatwiej jest zająć i opuścić mieszkanie, gdy się ma jakieś rzeczy. Biedna walizka tak zniszczała przez wiek i użycie, że była zgoła nieodpowiednią dla podróżującego literata, gdy przeciwnie, moje granatowe ubranie żakietowe — było o wiele przyzwoitsze.

Wtem zbliżył się jakiś służący hotelowy z literami na czapce, proponując mi zaniesienie walizy.

Nie przyjąłem jego usług, tłumacząc mu, że jeszcze nie zdecydowałem się na hotel, że muszę się najpierw zobaczyć z kilku redaktorami w mieście — bo to ja mam mieć dziś odczyt o literaturze.

Tak, ale hotel w każdym razie jest mi potrzebny, przecież muszę gdzieś mieszkać. Jego hotel jest najlepszy ze wszystkich: elektryczne dzwonki, łazienka, czytelnia. A bliziutko: tylko przez tę uliczkę i na lewo.

I bierze walizkę.

Powstrzymałem go.

Czyżbym sam chciał nieść swoje rzeczy do hotelu?!

Właśnie. Przypadek zrządził, że mam iść tą samą drogą, więc wezmę na palec swoją walizkę.

Wtedy spojrzał na mnie i nagle zrozumiał, że nie jestem żadnym wielkim panem. Rzucił się na-

powrót ku pociągowi, szukając innych podróżnych, ale nie znalazłszy nikogo, wrócił znów do mnie, i rozpoczął pertraktacje. Nakoniec oświadczył mi, że umyślnie dla mnie przyszedł na stację.

Ha, to rzecz inna! Może go wysłał komitet, który zasłyszał o mojem przybyciu — może Związek robotniczy? Zapewne Drammen posiada rozwinięte życie umysłowe, widocznie istnieje gorące pragnienie usłyszenia dobrych odczytów, całe miasto pełne naprężenia! Nie byłem pewnym, czy pod tym względem Drammen nie przewyższa Chrystjanji.

— Naturalnie, proszę wziąć moje rzeczy! — odezwałem się. Jednocześnie przyszło mi na myśl, że zapewne w hotelu można dostać wina.

— Wino! najlepsze gatunki!

— Dobrze, proszę iść. Nadejdę później. Muszę tylko złożyć wizytę redakcjom. Człowiek ten miał minę, jak gdyby rozumiał się na wielu rzeczach, zasięgnąłem więc jego rady:

— Któregoż z redaktorów mi polecacie? Nie miałbym ochoty chodzić po wszystkich.

— Arentsen jest największy — to zamożny człowiek. Wszyscy do niego się zwracają.

* * *

Redaktora Arentsena naturalnie nie zastałem w redakcji, odszukałem go w mieszkaniu prywatnem. Przedłożyłem mu swoją sprawę, odczyt z literatury.

— Hm, tu zbyt mało zainteresowania się takiemi rzeczami. Pewien student, Szwed, był tu przeszłego roku mówił o pokoju wieczystym, ale nawet koszta mu się nie zwróciły.

— Ja będę mówił o literaturze — odezwałem się.

— Tak, zrozumiałem — odparł redaktor — ale chciałbym pana przygotować, że i pan na tem straci.

Stracić nawet! Zobaczy ten pan Arentsen. Może mu się zdaje, że jestem jakimś commis voyageurem?

Zapytałem więc stanowczym głosem:

— Nie wiadomo panu, czy wielka sala Związku robotniczego jest wolną?

— Nie! — odrzekł redaktor. — Sala Związku robotniczego jest wynajęta na jutro wieczór. Mają się odbywać w niej sztuki antyspirytystyczne. A przytem występują małpy i dzikie zwierzęta. Z innych lokalów znam tylko pawilon w parku.

— Czy poleca pan ten lokal?

— Jest obszerna sala... Cena? — nie wiem, ale bezwątpienia dadzą panu bardzo tanio. Musi pan pomówić z zarządem.

Zdecydowałem się na pawilon w parku. Właśnie odpowiednie miejsce. Lokale stowarzyszeń robotniczych bywają często małe i niewygodne.

— Któż należy do zarządu?

— Adwokat Carlsen, kuśnierz ten a ten i księgarz ten a ten.

Wyprawiłem się więc do adwokata Carlsena. Mieszkał on na wsi. Szedłem i szedłem, aż nakoniec zaszedłem. Wyjaśniłem mu cel przybycia i zażądałem wypożyczenia pawilonu, który właśnie powinien się nadawać na taką osobliwość, jak odczyt literacki.

Adwokat zadumał się i potrząsnął głową.

Nie? Czyż lokal tak wielki? Musi przecie wziąć pod uwagę, że byłoby niedobrze, gdyby ludzie odchodzili od kasy dla braku miejsca.

Wytłumaczył się wtedy jaśniej: on może mi tylko odradzać. Tu tak mało zainteresowania dla czegoś podobnego. Pewien student, Szwed zjechał tu także z odczytem...

— Tak, ale on mówił o pokoju — odparłem — gdy tymczasem ja będę mówił o literaturze, o literaturze pięknej.

— A przytem zjawił się pan w nieodpowiedniej chwili — ciągnął dalej p. Carlsen — właśnie rozpoczęły się produkcje antyspirytystyczne w Związku robotniczym, występują małpy i dzikie zwierzęta.

Tu uśmiechnąłem się i spojrzałem na niego. Zdawał się mówić z głębokiem przekonaniem, więc zostawiłem go w spokoju, uważając za beznadziejnego.

— Ileż pan żąda za pawilon? — zapytałem krótko.

— Osiem koron — odrzekł — zresztą wynajęcie pawilonu zależy od całego zarządu. Za dwa dni będzie pan mógł otrzymać stanowczą odpowiedź; ale sądzę, że już dziś mogę panu śmiało przyrzec lokal.

Zrobiłem błyskawiczny obrachunek: obliczyłem że dwa dni czekania będą mnie kosztowały trzy korony, park osiem, razem jedenaście, sprzedający bilety jedną — więc dwanaście. Dwudziestu czterech słuchaczy po pięćdziesiąt öarów pokryłoby wydatki; reszta, stu lub dwustu ludzi, jeżeli przyjdą to będzie czysty zysk.

Przystałem więc i wynająłem pawilon.

* * *

Odnalazłem hotel i wszedłem — służąca mnie zapytała:

— Czy pan życzy sobie pokój na pierwszem, czy na drugiem piętrze?

Odpowiedziałem spokojnie głosem zupełnie naturalnym:

— Chcę mieć tani pokój, możliwie najtańszy.

Służąca zmierzyła mnie wzrokiem. Czy ze mnie żartowniś jaki, który z figlów mówi o tanim pokoju? Czy to nie ja pytałem się przez hotelowego o wino? Albo może umyślnie udawałem takiego skromnego, aby hotelu nie wprowadzać w kłopot?

Otwarła jakieś drzwi. Cofnąłem się.

— Właśnie jest wolny — rzekła — to dla pana. Rzeczy pańskie już tu są. Proszę!

Nie było rady; — wszedłem. Był to najwykwintniejszy salon tego hotelu.

— Gdzież łóżko?

— Tu, kanapa. Nie możemy tu wstawiać łóżka. Ale na noc rozkłada się sofa do spania.

I odeszła.

Wpadłem w zły humor. W tem wspaniałem otoczeniu stała moja nędzna waliza! A buty moje, po długiej wędrówce po gościńcu... strasznie wyglądały. Słowem, kląłem co się zowie.

W mgnieniu oka wsuwa głowę służąca i pyta:

— Pan sobie życzył czegoś?

Patrzcież, nie wolno mi się nawet dosadnie wyrazić, aby mię nie opadła moc służby!

— Nie! — odparłem szorstko — proszę mi przynieść dwie kromki chleba z masłem.

Wypatrzyła się na mnie.

— Nic ciepłego?

— Nie!

Zrozumiała wreszcie.

Gdy weszła z chlebem, przyniosła też listę win. Wytresowane stworzenie dręczyło mnie cały wieczór.

— Może panu ogrzać kołdrę... jest łazienka, jeżeli pan sobie życzy... (C. d. n.)

Tłum.
J. Klemensiewiczowa.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Estreicher: Bibljografja* stulecia XV.-XVIII. Tom IX. lit. Ko-Ky. Wyszedł właśnie tom IX. Bibljografji starych druków polskich, lub do Polski się odnoszących, praca ogromna, jedyna w swoim rodzaju, źródło wiadomości dla wszystkich, zajmujących się historją i literaturą i wogóle starszemi księgami. Opracowanie krytyczne najrozmaitszych wydań, dokładność informacji, łatwość wyszukania rzeczy potrzebnej, według przejrzystego porządku abecadłowego, cechują najnowszy tom bibljografji p. Estreichera, tak samo, jak i tomy poprzednie. Ogrom pracy i trudów autora budzi wprostpodziw dla samej osoby niestrudzonego bibljografa; zwłaszcza, gdy się zważy, że tom niniejszy jest z rzędu dwudziestym całego wydawnictwa.

Przy pobieżnem przeglądaniu najnowszego tomu, zwraca uwagę dokładne wyliczenie najrozmaitszego rodzaju i wydań konstytucji sejmowych i innych, dalej dzieł sławnego w XVIII. w. orjentalisty Krusińskiego, którego dzieła w różnych językach stanowią rzadkość, a sposobem ich wydawania tworzą prawdziwy chaos bibljograficzny. Dopełnienia i uzupełnienia dodane do tomu niniejszego wydobywają na jaw wiele, dotychczas nieznanych druków, zwłaszcza z bibljoteki Wolańskiego w Rudce na Ukrainie i bibljoteki katedry w Strangräs w Szwecji.

Simmel: Jak się utrzymują formy społeczne. Wydawnictwo polskiego Towarzystwa nakładowego we Lwowie. Rok 1904. Simmel należy do najgłębszych umysłów współczesnych, a w dziejach socjologji zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

W wymienionej wyżej pracy, stara się on wyodrębnić przedmiot socjologji od innych nauk społecznych, wydzielając jej zakres badań dotyczących specjalnie form życia zbiorowego.

Socjolog niemiecki zatrzymuje się szczegółowo nad kwestją samozachowawczości ustrojów społecznych. Jak widzimy przedmiot to doniosły i mało zbadany. Autor kładzie słuszny nacisk na ważne skutki objektywizacji sił społecznych, ujawniającej się w powstaniu różnych instytucji. Dzięki tej objektywizacji jednostki wtłoczone zostają w pewne ramy, określające drogę ich rozwoju. Simmel dość szczegółowo bada mechanizm utrwalania się form społecznych. Brak miejsca nie pozwala nam streszczać ważnych jego poglądów. Ciekawego czytelnika odsyłamy do samej pracy, która jakkolwiek nie jest dużą (obejmuje zaledwie stronic przeszło 40) jest jednak niezmiernie bogatą pod względem treści. Książka Simmla daje bogaty materjał i pewną podstawę do badania zagadnienia dotyczącego stosunku jednostki do społeczeństwa.

Przekład polski dobry. *L. K.*

PISMA. *Książka,* warszawski miesięcznik poświęcony krytyce i bibljografji polskiej, występuje w ostatnim numerze w ważnej kwestji wydawnictw gwiazdkowych, których sezon właśnie się rozpoczyna.

Mianowicie p. Julja Unschlicht-Bernstajnowa proponuje, aby w każdej księgarni w oznaczonych godzinach urzędowali fachowi pedagogowie, którzyby publiczności udzielali wskazówek, jakie ma kupować książki dla dzieci. Projekt ten uważa Redakcja „Książki" za niewykonalny i od siebie kładzie rodzicom na serce większą potrzebę uwagi i baczności na wybór książek dla młodzieży.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.